

Książka albo film? - oto jest pytanie.

Moje dzieciństwo wypełnione było po brzegi książkami. Czyli komiksami. Kajko i Kokosz, Tytus, Romek i Atomek, Myszka Miki – to moi przyjaciele, moi bohaterowie. I najlepszy z nich – Kaczor Donald. Kolorowe obrazki, a na nich moi ulubieńcy, którzy rozmawiają ze sobą. I do dziś pamiętam, co powiedziała kiedyś (chyba) Myszka Miki: ja to się cieszę byle czym.

To był mój dziecinny świat.

Potem przyszła pora na szkolne lektury. Też... no... czytam... Ale bez zapału... Bez ciekawości... Bo?

Bo to jest obowiązek. Bo to jest przymus. Bo tu ściga mnie czas.

Ale – chyba? - już z tego powoli wyrastam. Wyrastam z niechęci do książek. A jak to się stało?

Nie pamiętam, które to było Boże Narodzenie w moim życiu, kiedy pod choinką znalazłam książkę. Mikołajem była Alicja, moja kuzynka. Tytuł książkowego daru – Małe kobietki. Dedykacja w książkowym darze zapisana przez Alicję - Dla naszej małej dzielnej kobietki. Moja kuzynka dobrze wiedziała, co robi, dając mi taki właśnie prezent. Chciała otworzyć mnie na książki.

Dość dużo czasu zajęło mi zabranie się do przeczytania mikołajowej lektury, lecz kiedy już zaczęłam, nie mogłam się od niej oderwać. Każda z jej bohaterek jest niezależną kobietą, z własnym, unikatowym charakterem. Dokładnie taka, jak wszystkie kobiety w mojej rodzinie. Okazało się, że ta książka była obecna w naszych rodzinnych domach od zawsze: czytała ją moja prababcia, życie bohaterek śledziła babcia, a później jej obie córki, zarażając losem małych kobiet moją kuzynkę. A teraz przyszła kolej na mnie. Szczerze mówiąc, ani trochę nie żałuję decyzji o przeczytaniu tej książki, bo razem z jej bohaterami śmiałam się i płakałam, piłam herbatę czy odgrywałam różne sceny, wspomniane przez jedną z małych kobietek, Jo March.

No, to czas na szczegółowe informacje o książce. Małe kobietki, autorstwa Louis Mary Alcott, zostały wydane po raz pierwszy w roku 1868, natomiast w Polsce - dziewięć lat później. Jest to powieść, w której autorka przedstawia rzeczywistość Ameryki Północnej lat 60. XIX stulecia. Akcja powieści rozgrywa się w miejscowości Concord w stanie Massachusetts i opowiada o rodzinie March, zamieszkującej Orchard House. Pastor Pascal, jego żona Marmee i ich cztery córki – Margaret, Josephine, Elizabeth i Amy (ale dla bliskich i dla czytelników – Meg, Jo, Beth i Amy) - byli bardzo szczęśliwi, żyli bez większych problemów. Aż do wybuchu wojny secesyjnej. Pastor Pascal wyjechał na wojnę i rodzina traci cały swój majątek. Dziewczynki razem z mamą oraz swoją służką zamieszkują w małym, przytulnym domku.

Książka opowiada ich historię pod nieobecność pana March'a. Prezentuje przygody czterech sióstr podczas tego trudnego czasu, ich charaktery, ich dorastanie, ich problemy. Opisuje różne spotkania, bale, na jakie chodziły Meg i Jo, dwie najstarsze córki pani March. A wszystko, co się dzieje w ich życiu, wypełnia tęsknota za ojcem.

Małe kobietki wywołały ogromne emocje wśród czytelniczek. W Wikipedii znajduję informację, że francuska pisarka Simone de Beauvoir stwierdziła, że to między innymi Małe kobietki i postać Jo March ją ukształtowały, że to właśnie w tej bohaterce odnalazła postać podobną do siebie – nie lubiącą szyc i sprzątać, ale za to uwielbiającą książki szaloną dziewczynę. Jak się okazuje, możliwość utożsamiania się z Jo dała tej jednej z najsłynniejszych feministek naprawdę wiele siły, aby walczyć o lepsze jutro dla siebie i swoich najbliższych, lecz przede wszystkim dała jej siłę, aby walczyć za wszystkie kobiety, aby w końcu miały prawo głosu oraz aby były traktowane na równi z mężczyznami.

Okazało się, że książka Louis May Alcott jest ponadczasowa, że wychowała i, być może, wychowa jeszcze parę pokoleń kobiet. 155 lat po jej pierwszym wydaniu znawcy literatury twierdzą, że, cytując: „Małe kobietki nigdy się nie przeterminują”. I zapewne dlatego powieść doczekała aż ośmiu ekranizacji i dwóch serii filmów animowanych.

Wspomniałam już o swoim zachwycie Małymi kobietkami, ale mimo to po przeczytaniu książki czułam lekki niedosyt wrażeń. Postanowiłam więc obejrzeć film Małe kobietki, wyreżyserowany przez Gilliana Armstronga w 1994 roku; w Polsce ukazał się rok później.

Usiadłam przed telewizorem. I co? Po obejrzeniu filmu mogę powiedzieć jedno słowo: wspaniały! Według mnie najlepiej oddaną sceną został bal u pana Laurence'a, „straszego sąsiada” rodziny Marche. Suknie, które aktorki miały na sobie w ekranizacji, były praktycznie identyczne jak te, które sobie wyobrażałam: Jo ubrana w przepiękną, długą, czerwoną, Meg równie cudowną, w odcieniu butelkowej zieleni. Obydwie w pantoflach na wysokich obcasach - i właśnie dlatego Meg skręciła sobie na balu kostkę. Bardzo mi się podobało filmowe oddanie zmartwienia Lauri'ego, wnuka gospodarza, tym wypadkiem; mimo protestu dziewcząt zaopiekował się nimi i odwiózł je powozem do domu. Scena, również pochodząca z balu, która idealnie oddała to, co zapisane było w książce, to moment, w którym Jo przez przypadek weszła do pomieszczenia, w którym ukrył się Laurie. Nie krzyczał, nie złościł się, przeciwnie - był dla niej przemiły i ciepły, a do tego podzielił się z nią lodami tak samo, jak w książce. Ale jest i inny fragment książki, przeniesiony na ekran. Ten wspaniale zagrany, ten najsmutniejszy... To moment, kiedy Beth umiera na szkarlatynę; zaraziła się nią, gdy pomagała ubogiej rodzinie z sąsiedztwa. Trzeba przyznać, że niejedna osoba płakała zarówno nad książką, jak przy filmie w momencie, gdy Beth odchodziła...

Natomiast fragmentu książki, którego mi w filmie zabrakło, było podarowanie Jo kapelusza oraz wycieczka łódkami na wyspę na zabawy. Przeurocze było, jak Laurie podarował Jo kapelusz z ogromnym rondem, ponieważ wiedział, że panna March ma problemy ze skórą, przez co robi się cała czerwona od przebywania na słońcu. Wysłał jej go z liścikiem, który mówił, że nie należy się przejmować opiniami innych, lecz powinno się nosić to, co jest wygodne, a przede wszystkim to, co pomaga zachować zdrowy stan skóry. Parę dni po wręczeniu jej kapelusza wszystkie siostry dostały zaproszenie na zabawy, które miały się odbyć na pobliskiej wyspie. Miały być tam one, Laurie ze swoimi przyjaciółmi z Anglii oraz jego guwernant. Beth z początku nie była przekonana co do wyjazdu, jednak siostry namówiły ją i pojechała. Kiedy przyszło do dnia wyjazdu, Jo założyła kapelusz oraz strój kąpielowy, Amy ubrała się w jedną z ładniejszych sukni, podobnie jak reszta dziewcząt. Na wyspę razem z resztą przyjaciół dostały się łódkami. Jo oczywiście wzięła się za wiosłowanie tak samo, jak Laurie. Na wyspie wszyscy świetnie się bawili, grali w krokietę, w Autorów (jest to gra wymyślona przez dzieciaki z tamtych czasów), a na koniec zjedli posiłek w przepięknych okolicznościach natury oraz w przewspaniałym towarzystwie.

Szkoda, że ten fragment książkowej opowieści o życiu małych kobietek nie pojawił się w filmie, nad czym ubolewam, ponieważ można było tę scenę przepięknie zaaranżować. Okazuje się jednak, że reżyser ma – jak to nazwać? - własne zdanie o tym, co w książce jest ważne, a co można pominąć na ekranie. Ma inne zdanie niż czytelnik; a to temat do dyskusji, a także do przemyśleń.

Pomimo tego, że wygląd dziewczynek wyobrażałam sobie zupełnie inaczej, a niektóre wydarzenia zostały pominięte, film z 1994 roku jest, moim zdaniem, genialną ekranizacją książki. Wszystkie emocje zostały oddane wręcz perfekcyjnie przez aktorów, scenografia przerosła moje oczekiwania, jak na film z tak dawnego czasu. Dom, w którym mieszkała Marmee i jej cztery córki, wyglądał przepięknie. Zadbano nawet o to, aby znalazło się w nim

stare, rozstrojone pianino, które już pod koniec wydarzeń zostało zamienione na przepiękny, nowy instrument – prezent od pana Laurence’a. Charakter każdej postaci został idealnie pokazany. Co, na przykład, możemy powiedzieć o Jo, gdy była bliska „rozszarpania” nauczyciela, kiedy ten zbił Amy linijką? Że Jo była odpowiedzialna za swoje młodsze rodzeństwo. Że była odważna.

No i co? Udało mi się znaleźć odpowiedź na pytanie, które stało się tematem moich rozmyślań: Książka albo film? Tak. W przypadku Małych kobiet odpowiedzią jest zdanie oznajmujące: I książka, i film. Małe kobiety to książka, którą warto – albo nawet trzeba – przeczytać. Dlaczego? Bo jak każda mądra książka uczy nas życia. Poznaje ze światem. Dyskutuje z nami. Poszerza naszą wiedzę. A film Małe kobiety warto - a nawet trzeba - obejrzeć. Dlaczego? Bo uzupełni nasze książkowe wrażenia. Bo pokaże to, co umknęło nam w trakcie czytania. Bo pozwoli ocenić książkę z innego punktu widzenia.

Proponuję najpierw przeczytanie książki, dopiero później obejrzenie filmu. Dlaczego? Bo wtedy możemy porównać nasze wyobrażenia do tych, które miał reżyser. Nie dotyczy to jednak tylko tej powieści, a każdej, z jaką mamy okazję się zetknąć...